

TYGODNIK ZAKOPIAŃSKI.

Nr. 20. *Z dnia 8 listopada 1903 r.*



†

Ś. p. JÓZEF CHRAMIEC.

Na dom dra Andrzeja Chramca spadła żałoba. Dnia 4 listopada po ciężkich cierpieniach zmarł ojciec jego ś. p. Józef Chramiec, włościanin z Zakopanego. „Dziadka Chramca“ jak powszechnie nazywano zmarłego, znali wszyscy przyjaciele domu Chramców, znali wszyscy goście zakładowi, znało go całe Zakopane. Było coś wzbudzającego dziwny szacunek w tej przegiętej nieco ciężarem lat, a jednak krzepkiej postaci — twarz o charakterystycznych góralskich rysach okolona siwą brodą, miała wyraz roztropnej powagi i wielkiej dobroci. Dawniej „gazda“ na rozległych gruntach odziedziczonych po pradziadach dumny z swego starożytnego rodu — pierwszy w radzie w której przez wiele lat zasiadał, wszystkie swe śmiałe nadzieje pomieścił w synu Andrzeju, którego chciał widzieć uczonym, sławnym i dobrym. Krztałcił go w szkołach, urabiał charakter i niezłomną wolę. Los go nie zawiódł. Widząc się u szczytu marzeń oddał się cały zacisznemu życiu domowemu i resztę lat poświęcił wychowaniu wnuków, których podobnie jak syna chciał widzieć dzielnymi ludźmi. Zamieszkał przy synu. W zacisznej części parku „na Chramcówkach“ miał swoją chatę góralską o rzeźbionych odrzwiach, miał mały zwierzyniec w którym chował sarny, miał wartsztat ciesielski na którym prawie do ostatnich lat pracował.

Sławne to były wesela na których jawił się dziadek Chramiec. Gdy na innych krewka młodzież góralska często do siekier się brała, na weselu na którem był on, młódź trzymała się w karbach żelaznych i nie zdarzyło się nigdy, aby nieprzystojnem zachowaniem ubliżyła czcigodnemu gościowi. Powaga jego zginała twarde karki juhasów, budziła powszechny szacunek pośród gości i przyjaciół syna. Zwłaszcza za dawniejszych lat, gdy krzepszy był jeszcze, brał żywy udział w tutejszem ruchliwem życiu sezonowem. Miał swoich wybranych z którymi długie prowadził rozmowy o Zakopanem, o polityce, o pogodzie, o czem się zdarzy, a przedewszystkiem o górach! Znał on Tatry dobrze i kochał je bardzo, zdeptał wszystkie szczyty i doliny, znał prawie każdy kamień, każde drzewo. W górach odzyskiwał rzeźkość młodzieńczą, nie ciężył mu wiek ani choroba. Jeszcze w minionym roku prowadził wnuki swoje na Świnicę, na Czerwone Wierchy.

Mimo podeszłych lat zachował umysł bystry, interesujący się wszystkimi objawami życia społecznego; w długie wieczory zimowe czytał wiele, a synowi swemu był najlepszym doradcą.

Śmierć która przecięła pasmo dni jego nie była niespodziewaną. Syn i ukochana jego synowa troskali się już od roku o to drogie życie. Zdawało się, że już w maju r. b. ulegnie chorobie, ale żelazny jego organizm zwalczył słabość, otucha wstąpiła w serca najbliższych, sędziwy starzec powrócił do swoich zajęć codziennych i czuł się zdrowszym.

Poczęto się przygotowywać do wielkiej uroczystości rodzinnej, do obchodu złotego wesela dziadków, którego rocznica przypadała z końcem bieżącego roku. Nie danem było rodzinie dożyć tego upragnionego dnia, choroba powróciła i złamała siły starca.

Oto teraz leżą zwłoki dziadka w jego chacie góralskiej, o ścianę oparte wieko trumny dębowej, katafalk opleciony wieńcami choiny i szeregiem żółtych świec. Przychodzą górale, krewni i przyjaciele i odmawiają modlitwy za zmarłych, niosą wyrazy współczucia stroskanej rodzinie.

Zgasło życie szlachetne — zmarł patryarcha górali tutejszych.

Ś. p. Józef Chramiec liczył lat 70. Pozostawił oprócz syna córkę zamężną za jednym z włościan zakopiańskich.

Cześć jego pamięci! *J.*

SACHALIN.

Kartka z podróży.

Ponuro szumi wiatr; czarne fale się kłębią i wznoszą szare grzbiety, groźnie idąc w dal. To burzliwa cieśnina Tatarska, dzieląca Sachalin od lądu azjatyckiego. Statek zlekka, miarowo podnosi dziób w górę i zapada w falę, a zarazem przechyla się z jednego boku na drugi i odwrotnie. Nie poddawajmy się nastrojowi... Oto zbliżamy się do owego Sachalinu, który w pamięci ludzkiej zarysowuje się tak beznadziejnie i groźnie, jak Nowa Kaledonja, albo Guayana z Czarcią wyspą.

Sachalin należy do rzędu większych wysp świata (56 tys. kil. kw.) i znany jest europejczykom dopiero od stu kilkudziesięciu lat. Japończycy południowy Sachalin zwą Karafuto, był bowiem ich własnością aż do r. 1875, kiedy go odstąpili Rosji, biorąc w zamian wyspy Kurylskie. Sachalin ma fatalny klimat. Wilgoć nadzwyczajna i mgły ustawiczne nawiedzają wciąż tę ciemną wyspę — miejsce wygnania dla zbrodniczych wyrzutków z całego państwa rosyjskiego. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej smutnego, jak owa kraina, zatracona wśród lodowatych deszczów i burz śnieżnych, chociaż leżąca na tej samej szerokości geograficznej, co błogosławione doliny urodzajnej Lombardji podalpejskiej. Na górach Sachalinu, czasem dochodzących do 3, a nawet 5 tys. stóp wysokości, napotkać jednak można drzewa iglaste, brzozy, wierzbę i czarne gałęzie roślin pełzających. Niedźwiedź, jeleń, dzik, sobol — to zwierzęta, na które udaje się jeszcze natrafiać myśliwym. Ponura wyspa ma nawet tygrysa syberyjskiego. Ma aborygenów. Na północy są gilakowie na wschodzie — tunguzi, zwani „oroczenami“, na południu — cisi, brodaci ainosowie, którzy napotykają się jeszcze dotąd na północnych wyspach Japonji. Plemiona te wymierają. Gilaków jest zaledwie 2 tys., ainosów $2^1/_2$ tys. Wegetują wprawdzie z połowu ryb, ale powoli ustępują miejsca rasom, jedzącym mięso i pijącym wódkę.

Sachalin cierpi na brak artykułów spożywczych, które tu przywożą z Syberji, zwłaszcza mąki. Rzec można, że sam nie produkuje prawie nic. Na wyspie istnieją wielkie pokłady węgla kamiennego, wydobywanego potrosze przez skazanych „na katorgę“. Tu pracuje parę tysięcy zesłańców (głównie w Due). To niemal wszystko.

Statek przybija powoli w odludnem miejscu do lądu sachalińskiego. Oto więc ta ziemia beznadziejna! Na brzegu widać tylko jurty gilackie, ustawione na palach, dla zabezpieczenia od przypływów. W pobliżu schną rozwieszone sieci, uwite z jakiegoś gatunku konopi. Około jurt stoją gilacy i gilaczki z twarzami o wydatnych kościach policzkowych i dzieci z obwisłemi wargami. Uśmiechają się do nas przyjaźnie. Szare, gołe skały Sachalinu zaczynają przybierać odmienne oświetlenie. Patrzymy na morze, ginące w oddali.

— Wiele ryby nałowiliście?

— Mało... mało jest! — odpowiadają gilacy.

W dali, od skraju widnokręgu poczyna powoli podnosić się biała jasność zorzy północnej...

Na wielkiej wyspie sachalińskiej rosjanie zaczęli osiedlać się w r. 1857, budując pierwszy posterunek („post“) Due. Wkrótce Sachalin zaludnił się zesłańcami, a dziś jest już jedynem miejscem katorgi dla skazanych przez sądy karne. Liczba tych zesłańców dochodziła, podług ostatniego spisu, do 14 tysięcy (w tem około 2 tys. kobiet). Roboty, tak słusznie zwane „ciężkiemi“, odbywa około 5 tys. (w tem około 800 kobiet); reszta stanowi klasę osiedleńców. Wolnej ludności jest około 12 tys. Wsi ogółem ma Sachalin do 100, chat do 5 tys. Oprócz Due, istnieją tu miasteczka: Aleksandrowskie, Korsakowskie, Nowo-Michajłowskie, Rykowskie i Derbińskie.

Na brzegach zatoki Aniwa, tego najlepszego i najbardziej zasłoniętego od wiatrów północnych portu, rozłożyło się Korsakowskie, inaczej zwane „Post Korsakowskij“, które stanowi główny punkt zbrojny całej wyspy. Na tymże brzegu wzniesiono „Post Murawjewowski“, który jakgdyby strzeże północnych wód Japonji.

Druty telegraficzne już omotały sachalińskie wybrzeża. Sachalin nietylko jest dziś miejscem kaźni. To placówka...

— Jak wam tu? — zagaduję pod okiem dozorcy jednego z „lżej“ pracujących.

A mazur-katorżnik, który cztery dusze ludzkie zgubił, odpowiada:

— Ciężko grzesznemu człowiekowi, „wasze błagorodje!“ Ino tu jest woda i niebo... Kościół tyż jest.

Od Bajkału do Charbinu.

(Powyższy artykuł powtarzamy za „Słowem Warszawskiem“).

Od Bajkału rozpoczyna się kraj Burjatów, Tunguzów, Mongołów i Mandżurów.

Piękny jest cały kraj Burjacki, zwany Zabajkalskim. Kolej żelazna przesuwa się tu wciąż wpośród wzgórz, skał, wąwozów, lasów, nad ślicznemi wodami Selengi i Szyłki. Ten Sybir, który w wyobraźni Europejczyka wydaje się być surowym i dzikim, tutaj nabiera uroku iście szwajcarskiego. Wspaniała roślinność czepia się tu nawet skał-olbrzymów, które się lśnią zimnemi barwami kamieni i pstrzą żywem kwieciem, różowem, żółtem i białem.

Mijamy gubernjalną Czytę. Małe, w gruncie rzeczy, z niskimi domkami drewnianymi miasteczko. Pociąg staje przed nowym dworcem kolejowym. Najpiękniejszy to dworzec na całej kolosalnej przestrzeni od Uralu. W niedalekiej przyszłości takie pokaźne dworce mają być zbudowane na kilku innych główniejszych stacjach Syberji. Ale tymczasem wszystkie inne są bardzo nędzne i ciasne, i tylko nowy dworzec w Czycie robi europejskie wrażenie.

Po drodze bardzo niewielu widzę tubylczych Burjatów. Snać ukrywają się w górach, koczują na dalekich łąkach... Ukazują się czasem w oddali, konno, ze strzelbą na ramieniu, lecz bardzo rzadko pojawiają się na peronie stacyj.

Atoli w wagonie kolejowym spotykam jedną inteligentną rodzinę burjacką. Młody p. Cydypow jest dragomanem przy zarządzie kolei wschodnio-chińskiej. Ubrany po europejsku. Mówi doskonale po rosyjsku, gdyż ukończył szkołę przy konsulacie rosyjskim w Urdze, w Mongolji. Pochodzi z okolic Kiachty. Obok niego kołysze się na ławce kobieta pełna, z nogami pod siebie podwiniętemi, z krótko obciętemi przy skórze włosami.

— To moja matka — tłómaczy p. Cydypow.— Te włosy krótko obcięte świadczą, iż się poświęciła życiu duchownemu. Jedzie właśnie do klasztoru... A to moja żona!

Prezentuje mnie miłej i ładniutkiej Burjatce, która się wstydliwie uśmiecha.

Burjatki wogóle bywają wcale niebrzydkie. Miewają powłóczyste oczy duże, cerę świeżą, choć smagłą, i bardzo pełne, krwiste wargi. Ubierają się w kolorowe kaftaniki i w spódniczki fałdziste. Mnóstwo wszędzie noszą świecidełek: na szyi, na piersiach, na rękach kształtnych i we włosach, starannie uczesanych

Wnet za Czytą poczynają ukazywać się Chińczycy. Im bliżej do granic Mandżurji, tem ich więcej. Z długimi warkoczami czarnymi, w niebieskich kurtkach i takich samych spodniach, w wojłokowych pantoflach i płóciennych białych skarpetkach, zapełniają tłumnie perony. Ogromnie wszyscy ruchliwi, zwinni, weseli. Przyglądają się pasażerom ciekawie i pokazują ich sobie wąskimi palcami. Do rozmowy bardzo skorzy. Powtarzają ciągle: „szangó“, co ma znaczyć: „dobrze, ładnie“, choć podobno nie jest to wyraz czysto chiński...

Kto w tym tłumie jest Chińczykiem, a kto Mandżurem, rozpoznać nie sposób. Są całkiem jednacy. Mandżurzy „zchińszczyli“ się zupełnie!... Chociaż dwór chiński jest ściśle mandżurskim i wszystkie żony cesarskie są wyłącznie Mandżurkami...

Chińczyków pełno na całej niemal linji kolei zabajkalskiej.

Jeśli na stacjach ubrani bywają jako tako, nieraz całkiem przyzwoicie, to za to przy robocie, po obu stronach plantu kolejowego bywają wprost nadzy, bez koszuli i kurtki, zaledwie w spodniach. Pracują zawzięcie przy kopaniu rowów, przy reperacyach toru, przy tartakach, przy wzmacnianiu gruntów piaszczystych i t. d. Opalone, miedziane są ich plecy, a długie warkocze przy robocie omotane dookoła głowy...

Tu i owdzie wśród skał lub w nadrzecznej dolinie stoją ich nędzne domy-szałasy. Sklecone są z desek i chrustu lub zbudowane naprędce z gliny, pomieszanej z trawą. Z okien wagonu widać, jak w tych szałasach kucharz-Chińczyk, także na pół-nagi, rozczynia ciasto i jak w wielkim kotle przygotowuje strawę dla swoich współtowarzyszów...

Za stacją „Burjacką“, po najkarkołomniejszym od Adrjanówki uczątku, przecinającym fantastyczną wstęgą skalne odpryski gór Nerczyńskich — rozsnuwa się step. Tu już początek przyrody Mongolji. Step szeroki, bez drzew, tylko trawą porosły. Przez swoją falistość i pagórkowatość przypomniał mi stepy nad Dońcem i Donem.

W wagonach publiczności już mniej. Od „Chińskiego rozjazdu“ bowiem rozdziela się kolej żelazna: jedna linja, górzysta, idzie do Nerczyńska i Strieteńska, skąd wiedzie droga nad Amur, a druga, płaska, biegnie do granic Mandżurji.

Mamy za to w wagonie niezwykłego pasażera, „lamę“ mongolskiego! W żółtem jest odzieniu długiem i w oryginalnej czapce żółtej z szerokim wyłogiem. Jest zakonnikiem, a dni postu i umartwień przebył w Tybecie. Jednocześnie jest lekarzem. Jedzie od stacji do stacji, z węzełkiem pod pachą, w którym są książki i leki. W czarnych jego oczach przebija się melancholja. A policzki ma suche, ręce niespokojnie biegające, włosy rozpuszczone, rozwiane i lśniące..,

Trzy doby jedziemy przez kraj Zabajkalski. — O świcie przybywamy na st. „Mandżurja“. Jest

to granica Sybiru. Tu jest komora celna. Tu rozpoczyna się kolej wschodnio-chińska.

Przybywamy w ulewny deszcz. Dworzec drewniany, niski, bardzo mizerny. Ale obok widać wielkie mury, jeszcze niewykończone. Mieścić się w nich będzie niebawem nowy wspaniały dworzec wraz z hotelem.

Na stacji Mandżurja, naturalnie, Chińczyków cały legjon. Ponieważ pada deszcz, więc biegają boso, ale — pod ogromnymi parasolami, czerwonymi albo żółtymi!... Na peronie stoi już pociąg. Ma on nas zawieźć w samą głąb tajemniczego kraju...

Wagony prześliczne. Takich wagonów nie posiada ani jedna kolej żelazna w Rosji Europejskiej. Wszystkie są systemu pulmanowskiego, oświetlone elektrycznością, z wygodnymi przedziałami, z pokoikiem dla służącego, z dzwonkami elektrycznemi. Nawet trzecia klasa jest czysta i nader przyzwoicie urządzona. W klasach zaś pierwszej i drugiej panuje wprost komfort.

Spotykam tutaj pierwszego — żołnierza chińskiego. Na czarnej kurtce ma napisy, wyszyte czerwoną nitką po chińsku i po rosyjsku. Na głowie kapelusz słomiany, w ręku parasol i kij bambusowy. Odgrywa, wraz z żołnierzami straży pogranicznej, rolę żandarma. Pod jego jednak opieką są wyłącznie Chińczycy. Rozpędza ich grubym bambusem i woła: „tsuba!“ (idź precz!)

Pierwsza stacja na kolei wschodnio-chińskiej nazywa się Dałaj-Nor. Jest to nazwa jeziora, które slynie z tego, że nad niem gnieździ się mnóstwo dzikich gęsi. Na następnej stacji, w Char-chon-te, spożywamy wcale smaczny obiad. Po południu jesteśmy w pierwszem miasteczku mandżurskiem, w Chajłarze, za „świętym gajem...“

Miasteczko to było cichą, małą osadą. Ale od czasu budowy kolei, zrobiło się sporem i dość ożywionem. Mieszka tu dużo inżynierów, urzędników kolejowych, są tu obszerne koszary wojskowe, liczne sklepy i sklepiki. Jest klub kolejowy z bibljoteką i czytelnią, jest nawet „café-chantant“... Rodak nasz, p. Zdzisław Heise, posiada tu hurtowny skład piwa z własnego browaru wierchnieudińskiego.

Ludność w Chajłarze przeważnie chińska. Całe roje Chińczyków otaczają nasz pociąg. Są między nimi twarze przystojne, myślące, a jednocześnie są twarze bardzo brzydkie i naiwnie dzikie. Lubią snać rozrywkę, bo, jak mi mówiono, każdy pociąg spotykają tłumnie. Niektórzy zajmują się drobnym handlem — sprzedają orzeszki cedrowe, zapałki, jakieś placki, ogórki i t. p.



TATRY W ZIMIE.

Jedziemy dalej, wciąż przez równinę, przez ogromne urodzajne stepy. Drzew ani śladu. Gdzieniegdzie widać łany pszenicy, jęczmienia, prosa, gaulanu, soi...

Nazajutrz wieczorem przybywamy do Cycykaru.

Stacja kolei oddalona o wiorst kilkanaście od starożytnego miasta, które jest stolicą prowincji. Jest to od zachodniej strony największe miasto mandżursko-chińskie, rezydencja „tsian-tsiunia“, czyli chińskiego generał-gubernatora.

Dwanaście godzin jazdy rozdziela Cycykar od Charbinu.

W tym nowym centrze administracji i zarządu kolei wschodnio-chińskiej, stajemy w piękny sierpniowy poranek.

KORESPONDENCJA.

Pogrzeb ś. p. Józefa Chramca odbył się z wielką okazałością. Całe Zakopane pośpieszyło oddać ostatnią posługę zacnemu starcowi, ojcu tego, który energją swoją i pracą na ojczystych Chramcówkach stworzył olbrzymi zakład leczniczy i który przyczynił się znacznie do rozsławienia rodzinnej wioski swojej po wszystkich ziemiach polskich. Już wczesnym rankiem poczęły się gromadzić tłumy górali przed chatą, którą zamieszkiwał zmarły, aby ostatni raz zmówić pacierze przy zwłokach, aby po raz ostatni widzieć twarz doradcy swego, przyjaciela, krewnego. Ranek był ponury i chłodny. Z poza opony mgieł zaledwie rysowały się kontury szczytów, dołem czerniały regle, śnieg prószył. Po pokropieniu zwłok wzięli górale na ramiona trumnę dębową i ruszył kondukt pogrzebowy prowadzony przez miejscowego proboszcza ks. kanonika Kaszelewskiego w asystencji OO. Jezuitów, miejscowego kleru i kapelana zakładu ks. proboszcza Guta. Na Chramcówkach rozwinął się pochód, a trumnę nakrytą wieńcami złożono na żałobnym wozie. Wóz otoczyła młodzież góralska przepasana przez białe cuhy wstęgami krepy, zszeregowała się straż pożarna, wysunęła na czoło deputacja rady gminnej. Za trumną postępowała synowa zmarłego Jadwiga z Bieczyńskich, prowadząc synów. Za nią szła żona ś. p. Józefa Chramca, Jadwiga, staruszka od kilku lat ociemniała, wspierając się na ramieniu syna swego dra Andrzeja Chramca, dalej reszta rodziny, krewni, przyjaciele.

Wychowanki zakładu Kuźnickiego przystrojone w białe czepeczki prowadziła p. Zaleska, szedł hr. Zamoyski, dr. Dłuski, komisarz Piątkiewicz, i wszystko co tylko w Zakopanem wybitne czy to imieniem czy stanowiskiem. Orszak postępując nie zmniejszał się, ale rósł ciągle zwiększany falą nadpływającego ludu, który odbiegał zajęć codziennych, aby przez uczestnictwo w obrzędzie zaznaczyć cześć dla zmarłego, współczucie synowi.

Wiatr roztrzepywał czarne chorągwie, roznosił echa pieśni żałobnych, a my, patrząc na ten milczący tłum schylonych i odkrytych głów, rozważaliśmy jak dzielnym i cnotliwym był ten włościanin, kiedy oto zasłużył cichem życiem na tyle miłości i przywiązania.

Na początku Krupówek wzięli górale trumnę na ramiona i ponieśli do kościoła parafjalnego. Ustawiono ją tu na pięknie przybranym katafalku, wyszedł z cichą mszą ks. Gut, i rozpoczęto śpiewać wigilje. Poczem rozświecono kościół świecami, zapłonęły światła przy katafalku i rozpoczęła się śpiewana msza żałobna którą w otoczeniu kleru celebrował ks. kanonik Kaszelewski.

Na cmentarzu, nad otwartą mogiłą przemawiał ks. Kaszelewski. Wziąwszy za motto słowa, iż „Szczęśliwi ci, którzy umierają w Panu“ — mówił o bogobojnem i cnotliwem życiu zmarłego, mówił o silnej wierze jego, wedle której żył — i zmarł bez skarg, poddany woli Bożej, o zamiłowaniu jego w pracy i o ukochaniu tradycyi i obyczaju ludu, z którego wyszedł.

W miarę słów ks. Kaszelewskiego, przesuwał się przed oczami naszemi cichy żywot prawego obywatela-chrześcijanina, który przez pasmo dni swoich pełnił obowiązki, do jakich go Bóg powołał.

„Dziadek Chramiec“ spoczął na tym starym cmentarzu, gdzie każdy prawie kamień grobowy pokrywa nazwisko znane, około rozwoju Zakopanego zasłużone. Spoczywa tu w pięknym sarkofagu oplecionym wieńcami choiny dr. Chałubiński, niezapomnianej zacności dr. Florkiewicz, dr. Hawranek, apostoł górali ks. Stolarczyk i wiele wiele ludzi zacnych i prawych. Usypano teraz nową mogiłę, niemniej godną jak tamte.

Oprócz rodziny Chramców, Bóg dotknął ciężko w ostatnich dniach i dom doktorów Dłuskich. Synek ich jedyny, w szóstym roku życia zmarł z początkiem listopada. W dzień zaduszny kończono kopać grób, który zamknął w sobie wszystkie nadzieje rodziców.

Redakcja „Tygodnika“ przesyła obu rodzinom wyrazy głębokiego współczucia.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

W tej chwili Eugeniusz wszedł do sali; był blady wycieńczony, ciężyć mu się zdawał mundur na plecach. Włosy miał krótko przycięte, a w ciemnych dużych oczach malował się jakby tłumiony niepokój. Wyglądał na człowieka, który obawia się rzucić wejrzenie za siebie, iżby nie dojrzeć strasznego widma. Mimo to twarz jego odzyskała wyraz powagi momarszej; nikt nie poznałby chorego młodzieńca, majaczącego gorączkowo na łóżku, w jednym z domów przedmieścia Ostendy,

w księciu Eugeniuszu von Rüdesheim, zamieszkującym wspaniały apartament dworski hotelu Babilon, otoczonym zbytkiem, okazałością, jakiemi cywilizacja tegoczesna obdarza wybrańców losu. Smutny epizod ostendzki był już zapomniany, jak gdyby nigdy nie istniał, lubo uczucie przykrego upokorzenia nie ustąpiło jeszcze z serc tych, którzy byli świadkami smutnego zajścia. Eugeniusz, jako rekonwalescent, przewieziony do Londynu, podjął nanowo przerwany wątek książęcego żywota. Dama w czerwonym kapeluszu, zawzięta panna Spencer, nie przebierający w środkach dystyngowany łotr Julian, ciemny wilgotny loch, twarde łoże chorego, wszystko to minęło szczęśliwie; wolność, zdrowie zawdzięczał Eugeniusz staraniom księcia Ariberta i Racksolów. Mógł znowu rozpocząć swą publiczną i urzędową karjerę. Cesarz zawiadomiony został o jego przybyciu do Londynu i mimowolnie przedłużonych dniach pobytu w Ostendzie; nazwisko księcia von Rüdesheim spotykano w dalszym ciągu na szpaltach dzienników w dziale kronik dworskich, słowem rzeczy dawnym już szły torem, tylko... tylko Julian, Rocco i panna Spencer snuli się ciągle gdzieś w cieniu; ciało Reginalda Dimmocka pochowane leżało w mauzoleum pałacowem w Rüdesheim, a książę Eugeniusz nie załatwił jeszcze interesu z panem Samsonem Levi.

Wątpić nie można, że sprawy te ciążyły na sercu księcia, czyniły go skrytym, w sobie zamkniętym. Mimo bolesnych, przebytych prób, które powinny były zacieśnić stosunek synowca i stryja, uczynić pierwszego więcej wylanym i szczerym, — książę Eugeniusz rzadko przemawiał do Ariberta słowo, a nie dotykał nigdy wydarzeń zaszłych w Ostendzie, tak, że Aribert o intrygach Juliana nie więcej wiedział jak w dniu, gdy wieczorem wchodził z Racksolem do salonów gry w kursalu. Eugeniusz rozumiał to, że wpadł w ręce wrogów przez zdradę podstępnej damy w czerwonym kapeluszu, ale wstydząc się słabości swojej, nie chciał udzielać drugim szczegółów smutnej sprawy.

— Zamierzasz przyjąć interesanta w tym pokoju? — zagadnął synowca Aribert.

— Tak — odciął książę w złym humorze. — Dlaczego nie miałbym postąpić w ten sposób? Chociaż nie mam odpowiedniej świty, nie stanowi to przeszkody w udzielaniu ludziom audjencji... Hans, możesz odejść. — A gdy stary sługa spełnił rozkaz i oddalił się, książę dodał: — Aribercie, poczytujesz mnie pewno za warjata.

— Nie bądźże niedorzecznym, Eugeniuszu — perswadował książe Aribert, mimowoli przestraszony oświadczeniem synowca.

— Jestem pewny, że mnie masz za waryata; przypuszczasz, że zapalenie mózgu zostawiło na umyśle moim niezatarte ślady. — Być może istotnie, że nie odzyskałem w zupełności zdrowych zmysłów. — Bóg świadkiem, że przechodziłem w ostatnich czasach tak ciężkie próby, iż mogły przyprawić mnie o szaleństwo.

Aribert nic nie odpowiedział. Przypuszczał istotnie, że umysł Eugeniusza nie był jeszcze w normalnam stanie, lecz wyrzeczone słowa natchnęły go większą wiarą w pomyślny rezultat przeprowadzonej przez młodego człowieka kuracyi. Czuł, iż rzeczy wzięłyby dobry obrót, gdyby tylko wróciło Eugeniuszowi dawne do niego zaufanie, łączące ich od lat dziecięcych. Takiej ufności panujący książę von Rüdesheim nie pokładał teraz w nikim; chociaż wyrwał się z mroków śmierci, śmierć ta zdawała się rzucać na niego cień złowrogi.

— Sądzę — rzekł nagle — iż należy mi wynagrodzić tych Racksolów; jestem im bardzo wdzięczny. Jak myślisz, gdybym ofiarował dziewczynie ładną bransoletę, a ojcu z jakie tysiąc gwinei?...

— Co mówisz, Eugeniuszu — zawołał Aribert z przerażeniem. — Tysiąc gwinei! Czy wiesz, że Teodor Racksole mógłby kupić całe księstwo Rüdesheim, nie czyniąc tem w majątku swoim uszczerbku wielkiego. Tysiąc gwinei tyle znaczy dla niego, co dla ciebie sześć pensów.

— Więc cóż im mam ofiarować?

— Nic poza szczerem podziękowaniem. Każdy inny dar byłby dla nich zniewagą. To nie są właściciele hotelu zwykłego pokroju.

— Więc nie mogę dziewczynie podarować bransolety? dowiadywał się Eugeniusz tonem lekceważenia.

Aribert spojrzał mu w oczy surowo.

— Nie! — odparł stanowczo.

— A dlaczego całowałeś ją owego wieczoru? — pytał synowiec obojętnie.

— Kogo całowałem? — zagadnął Aribert, rumieniąc się z gniewu, mimo czynionych wysiłków dla utrzymania spokoju.

— Córkę Racksola.

— Co przez to rozumiesz?

— Mam na myśli noc w Ostendzie, gdy byłem chory — mówił Eugeniusz. — Sądziliście, że miałem malignę? Może przypuszczaliście słusznie, a jednak pamiętam tę chwilę bardzo wyraźnie. Podniosłem głowę na jedną sekundę i wtedy właśnie tyś ją pocałował. Oh! wuju Aribercie!... — groził.

— Słuchaj, Eugenjuszu, słuchaj, na miłość Boską! Kocham Nellę i pragnę pojąć ją za żonę.

— Ty!?

Nastąpiła długa pauza, wreszcie Eugenjusz roześmiał się i rzekł:

— Tak zwykło się mówić z początku. Ja sam dawałem podobne przyrzeczenia; one nic nie znaczą i do niczego nie obowiązują.

— W tym razie mają szczerej prawdy znaczenie — odpowiedział ze spokojem Aribert,

Stanowcze brzmienie jego głosu usposobiło Eugenjusza poważniej.

— Nie możesz jej poślubić — dowodził — cesarz nie zezwoli na morganatyczne małżeństwo.

— Cesarz nie będzie miał potrzeby mieszać się w tę sprawę. Zrzeknę się wszystkich praw,

przywilejów książęcych, zostanę prostym obywatelem kraju.

— W takim razie wyzujesz sią zupełnie z majątku.

— Moja przyszła żona majętna, a wiedząc o poświęceniu, jakie zmuszony jestem zrobić dla poślubienia jej, nie zawaha się posag swój w moje złożyć ręce; będziemy z niego użytkowali wspólnie — zauważył Aribert chłodno.

— Byłbyś niewątpliwie bogaty, ale czy myślałeś o tem — rzekł Eugenjusz, a jego słodki uśmiech ustąpił i oczy przybrały wyraz chorobliwego niedołęstwa — czy pamiętałeś, że jestem kawalerem, że mogę umrzeć lada chwila, dziedzictwo tronu spadnie wówczas na ciebie, Aribercie?

— Dziedzictwo to nie spadnie na mnie; ty żyć będziesz, Eugenjuszu — tłómaczył Aribert łagodnie. — Jesteś już rekonwalescentem, nie potrzebujesz obawiać się złych skutków choroby.

— Lękam się siedmiu dni przyszłego tygodnia — oświadczył Eugenjusz.

— Siedmiu dni? dlaczego?

— Nie wiem; mam przeczucie, że w ciągu tego czasu grozić mi będzie niebezpieczeństwo. Gdyby jednak...

— Pan Samson Levi — anonsował Hans we drzwiach głośno.

XX.

Pan Samson Levi życzy księciu dzień dobry.

Książę Aribert drgnął.

— Potrzebuję widzieć się z nim — rzekł, i dał znak służącemu, aby gościa wprowadził.

— Ja pierwej proszę o chwilę rozmowy — zawołał Aribert, kładąc rękę na ramieniu synowca, jednocześnie rzucił znaczące wejrzenie staremu Hansowi, — który zniknął bezzwłocznie za drzwiami.

— O co chodzi? — pytał Eugeniusz szorstko — skąd to nagłe żądanie twoje? Nie zapominaj, żem naznaczył Samsonowi Levi widzenie i nie mogę kazać mu czekać za drzwiami. Wszak mówią, że akuratność jest u książąt obowiązującym dowodem grzeczności.

— Eugenjuszu — odezwał się Aribert — pomówmy z sobą szczerze. Dlaczego nie mielibyśmy zaufać sobie wzajemnie? Pragnę ci pomagać, jak ci pomagałem dotychczas. Tytularnie jesteś władcą moim, lecz z drugiej strony mam zaszczyt być twoim stryjem, towarzyszem twej młodości, mało co starszym od ciebie. Żądam zaufania, którem obdarzałeś mnie lat tyle, teraz zaś ukrywasz jakieś tajemnice przedemną; od czasu twojej choroby stałeś się więcej jeszcze skrytym.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Aribercie? — dowiadywał się Eugenjusz tonem na pół przyjaznym, na pół gniewnym.

— Przedewszystkiem chcę cię przestrzedz, że nie powiedzie ci się interes z szanownym Samsonem Levi.

— Tak sądzisz? — mówił Eugenjusz lekceważąco. — Skąd wiesz, o co z nim traktuję?

— Daremnie taisz prawdę; ów interes jest mi znany. Nie otrzymasz od niego miljona funtów szterlingów.

Eugenjusz westchnął ciężko i usiłował zapanować nad ogarniającem go rozdrażnieniem.

— Kto znowu narobił plotek? Co za miljon funtów? — mówił, rozglądając się niespokojnie po sali. — Ah! — zawołał z wymuszonym śmiechem — już wiem! Bredziłem w gorączce, a ty na takie brednie nie powinieneś był zwracać uwagi, Aribercie. Chory rozgorączkowany miewa różne przywidzenia.

— Nie bredziłeś w malignie — odparł Aribert — przynajmniej nic nie mówiłeś o sobie. Wiedziałem o zamierzonej pożyczce, zanim spotkałem cię w Ostendzie.

— Kto ci mówił?

— Przyznajesz więc, że traktujesz o pożyczkę?

— Nic nie przyznaję. Kto ci o tem mówił?

— Miljoner, Teodor Racksole. Arystokraci pieniężni nie mają dla siebie tajemnic; tworzą koterję ściślejszą daleko od naszej koterji rodowej, a bez porównania potężniejszą. Oni to rządzą światem, są rzeczywistymi mocarzami.

— Bodajby przepadli! — zawołał Eugenjusz.

— Możeby tak niejeden powiedział. Ale wróćmy do naszej sprawy. Łatwo zrozumiesz moje pomieszanie i niezadowolenie, gdy przekonałem się, że stan twoich interesów dokładniej znany Racksolowi, niżeli mnie, stryjowi twemu. Szczęściem, to poczciwy człowiek, któremu zaufać można, inaczej posunąłbym się do jakiego rozpaczliwego kroku, wiedząc, że odkryte przed nim wszystkie tajemnice twego prywatnego życia. Odpowiedz mi szczerze: na co potrzebny ów miljon funtów szterlingów? Czy istotnie tak bardzo zabrnąłeś w długi? Nie robię nacisku; pytam poprostu.

— Cóż z tego, jeśli dłużny jestem miljon funtów? — mówił Eugenjusz z odcieniem zuchwalstwa.

— Nie zaradzę złemu, kochany synowcze; pozwól powiedzieć sobie tylko, że to duża suma, roztrwoniona w przeciągu lat dziesięciu, wszak prawda? Na co straciłeś tyle pieniędzy?

— Nie pytaj, Aribercie; byłem szalony. Przysięgam ci jednak, że kobieta, którą nazywamy damą w czerwonym kapeluszu, jest ostatnim tych szaleństw objawem. Mam zamiar pojąć żonę, zostać zasługującym na szacunek księciem.

— Uważasz się więc w dalszym ciągu za narzeczonego księżniczki Anny?

— Fakt ten nie ulega wątpliwości. Załatwiony z Samsonem Lewi interes wygładzi jeszcze położenie. Nie oddałbym Anny choćby za tron cesarski. To dobra, niewinna dziewczyna; kocham ją, jak człowiek kochać może anioła.

— A mimo to zawiodłeś tę kobietę; taiłeś długi twoje.

— Nie przed nią taiłem, tylko przed jej rodzicami i cesarzem. Dochodziły ich w tym względzie niekorzystne o mnie pogłoski, dlatego pra-

gnę zamknąć usta plotkarzom, pokazując rodzicom panny nieobdłużoną dóbr moich hipotekę.

— Rad jestem, żeś to wyznał otwarcie, ale ja względem ciebie równie będę szczerym, uprzedzając cię, że nie poślubisz księżniczki Anny.

— Dlaczego? — zagadnął podejrzliwie Eugenjusz.

— Bo jej rodzice nie zezwolą na ten związek, a ty nie będziesz mógł pokazać im czystej hipoteki. Samson Lewi odmówi pożyczki miljona funtów szterlingów.

— Tłómacz się jaśniej.

Chcę ci to powiedzieć właśnie. Byłeś podstępnie porwany i więziony w Ostendzie, wiesz w jakim celu?

— W tym celu, przypuszczam, że niecna, w czerwonym kapeluszu kobieta i godni jej wspólnicy chcieli więcej wyłudzić odemnie pieniędzy. Szczęściem, dzięki wam, nie powiódł się ich zamiar.

— Nie zgadłeś — zaprzeczył Aribert. — Nie pieniędzy żądają od ciebie, gdyż wiedzą, że ich nie posiadasz. Znają cię, jako jednego z najlekkomyślniejszych książąt w Europie, niepamiętnego obowiązków, ciążących na tobie, jako władcy państwa. Pozwolisz, żebym powiedział, dlaczego cię porwali?

— Nie nadużywaj cierpliwości mojej, stryju.

— Obeszli się z tobą nielitościwie w tym celu jedynie, aby opóźnić na dni kilka twój przyjazd do Anglji; usiłowali zwichnąć interes zamierzonej pożyczki przez uchybienie z twej strony terminu, naznaczonego Samsonowi Levi. Przypuściwszy zatem, że od tego Levi nie otrzymasz pieniędzy, czy znasz jakiego drugiego bankiera w Europie, gotowego pożyczyć ci potrzebną sumę, na którą nie możesz dać dostatecznego zabezpieczenia?

— Prawdopodobnie nie znalazłbym u drugiego finansisty kredytu — odparł Eugenjusz spokojnie. — Zobaczysz jednak, że dostanę pieniądze od Samsona Levi; on przyrzekł i wiem, że można rachować na jego słowo. Mówił, iż po dopełnieniu niektórych formalności, żądaną sumę będzie trzymał do mego rozporządzenia aż...

— Aż dokąd?

— Do końca czerwca.

— Teraz mamy koniec lipca.

— Co znaczyć może różnica jednego miesiąca! On rad z umieszczenia swoich kapitałów, od których pobierać będzie wysoki procent. Skąd do rozumnej głowy Aribercie, zawitała myśl knowanych przeciw mnie spisków? Niedorzeczne przypuszczenie! W jakim celu intrygowanoby w ten sposób?

— Słyszałeś kiedy o Bośni? — zagadnął Aribert.

— Jaki związek ma Bośnia z tą sprawą?

— Nie potrzebuję ci przypominać, że książę Bośni ma zobowiązania względem Austrji, której zawdzięcza stanowisko swoje. Austrja znowu upatruje w tem własny swój interes, iżby książę zawarł korzystne pod każdym względem małżeństwo.

Pragnę...

Pragnę... by w mojej Ojczyźnie bez końca
Płynęły pieśni dawne i pamiętne;
By duchy były promienne — jak słońca,
By nie wróciło to — co było smętne.

Pragnę... by znikły różnice, niezgody,
By w jednem sercu — serca były zlane;
Ażeby błysnął jasny dzień swobody —
By kiedyś zbrodnie, były zapomniane.

Pragnę... by minął ten prąd: słabej woli,
By znikły nędzne kwilenia, tęsknoty;
By nie umarło to — co naród boli...
Lecz żeby wstało — jako anioł złoty...

Pragnę... długiego... echowego brzmienia
Pieśni, co silna i co się nie żali —
Lecz idzie naprzód, bez zwątpień cierpienia
Niezwyciężona — wykuta ze stali!

Irena. K.

Poczta otwarta od 8-ej rano do 12-ej w poł. i od 2-ej do 6-tej popoł., w niedzielę od $8^1/_2$ do $11^1/_2$ rano i od 3 do 4 popoł. W niedzielę i święta w godzinach popołudniowych nie można nadawać przesyłek pocztowych i ani odbierać, ani nadawać przekazów pieniężnych. **Telegraf** otwarty jest od 7-ej rano do 9-ej wieczór bez przerwy. **Telefon** funkcyonuje w tych samych godzinach, co i telegraf. **Listy roznoszone są** o 8-ej rano i 4-ej popoł. **Paczki rozwozi się** o 8-ej rano i o 4-ej popołudniu. Za rozwożenie paczek pobiera się opłatę: od paczki do $1^1/_2$ kg. 6 hal., do 5 kg. 10 h. do 10 kg. 20 hal, nad 10 kg. 30 hal.; jeśli jest kilka paczek bierze się jedną należytość od najcięższej, a od reszty po 6 hal. bez względu na wagę.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego:	o 9 min. 2 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego:	o 7 min. 5 rano. o 3 min. 30 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa:	o 10 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa:	o 4 min. 40 po poł. o 11 min. 5 wieczór.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów:	o 10 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa:	o 2 min. 31 po poł.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. **Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.**
Druk W. Korneckiego w Krakowie.